

KULTURA

Krystian Lupa jak taternik zawsze szuka nowych dróg Ciekna egzystencja

Przed laty Krystian Lupa przyniósł studentom krakowskiej szkoły teatralnej skrajnie adramatyczną książkę. Róbcie te sceny, powiedział, które za nic nie dadzą się przenieść do teatru. Ze zderzenia z niemożliwym powstały wtedy „Szkice z »Człowieka bez właściwości«”. Lupa ceni ryzyko, prowokuje je. Jak taternik nie powtarza raz wytyczonych dróg na szczyty; zawsze szuka nowych przejęć. Często otwierają się z nich olśniewające widoki, czasami ściana stawia opór. Bywa wszakże i tak, że karkołomna wspinaczka kończy się sukcesem, rodzą się jednak wątpliwości: czy przebyta ścieżka warta była wysiłku?

JACEK SIERADZKI

Zanim o tych wątpliwościach, najpierw zapewnienie: nigdy dość szacunku dla odwagi i artystycznego ryzyka. W naszym twórczym świecie, gdzie niewychylanie się zyskało (niepostrzeżenie i bezrefleksyjnie) status normy, niewielu wybitnych byłoby stać na taki – niegołosłowny! – zapis, jak ten w dzienniku pracy nad „Wymazywaniem”.

„Dziś coś się zaczyna wykluwać – może właśnie ta materia, ta niedramatyczna materia daje więcej szans na odłączenie się od pepowiny tego starego teatru, który uprawiam... Te go pogłębianego psychologią »magicznego realizmu«, który staje się już z wolna manierą”.

Ostatnia nietłumaczona powieść Thomasa Bernharda to oporne tworzywo widowiska. Właściwie bez fabuły. Tragiczna śmierć rodziców i brata każe bohaterowi, pisarzowi i wykładowcy, wrócić z Włoch do rodzinnego Wolfsegg w Austrii, skąd uciekł był niegdyś ku wolności. Pogrzeb, decyzje spadkowe, stare kąty – wszystko to ewokuje wspomnienia, te zaś prowadzą do przewartościowań, przeżywania dawnych klęsk, kłamstw i kompromisów. Powieść pisana jest, jak wieść niesie, gorączkowym monologiem, niepodzielonym nawet na akapity. Wolno wierzyć, znając inne utwory pisarza, że ma siłę pocisku, że pełno w niej obsesji, wściekłych oskarżeń, bólu i męki.

Krystian Lupa umiejscawia ją w wyrazistym plastycznym uniwersum, we wnętrzach łączących harmonię z brzydotą codzienności, ład z nieładem. Przestrzeń Kindervilli, pustej i zakurzonej hali magazynującej zaśnieżone wspomnienia, gdzie ludzkie sylwetki przyjmują rozmiary lalek, warta jest długiej kontemplacji. Takich obrazów jest więcej. Z akcją jest jednak gorzej: „apokryfy” haftowane na Bernhardowskiej narracji zdają się monotonne,

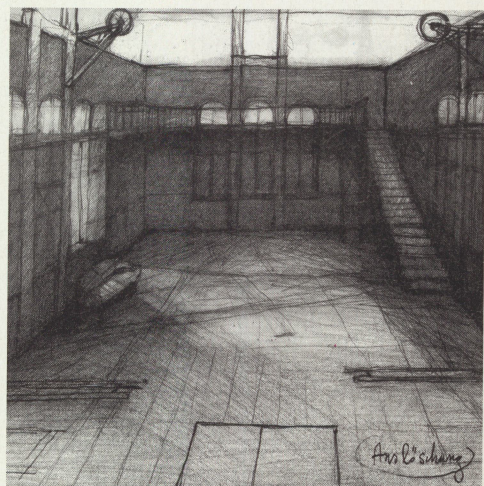
amorficzne i wbrew pozorom dość ubogie, gdy idzie o wnętrza bohaterów. W dodatku Lupa powtarza zabieg nieznośny już w „Lunatykach”: sekwencje, które go fascynują, rozciąga, celebry, przywołuje w nieskończoność. Dla szczegółu gubi rytm, nie dba o upływający czas.

Zgoda, tak miało być, to przecież istota „teatru ciekna egzystencji”, żeby użyć autodefinicji reżysera. Lupa programowo eliminuje w „Wymazywaniu” tradycyjne kon-



Piotr Skiba i Małgorzata Niemirska

strukcje: ekspozycje, napięcia, pointy; widz ma wtopić się w sceniczną sytuację, a nie gorączkowo doszukiwać się znaczeń. Gdy bohater (Piotr Skiba) rozbiera się do naga, nie jest to gest ekshibicjonistyczny, lecz intymny: został sam, z dala od rodzinno-funeralnego fałszu, naturalny i bezradny. Obserwujemy, jak wychodzi z roli żałobnika, rozluźnia się, przełamuje lody z zawstydzoną siostrą... Nie pierwszy, nie ostatni raz jesteśmy stawiani w roli podglądaczy, świadków sytuacji skrupulatnie pozbawionych wszystkiego co sztuczne, na pokaz. I jeśli to lubimy, jeśli – jak ponoć wielu – jesteśmy skłonni artystyczną sztuczność oddać za kawałek nagiej prawdy, możemy żeglować, niesieni „strumieniem egzystencji”, długie kwadransy. A jeśli nie? Jeśli nie, to przedstawienie w warszawskim Teatrze Dramatycznym musi budzić irytację – choćby zderzeniem



Kindervilla – projekt scenografii

miraży zanotowanych w programie z rzeczywistym przebiegiem widowiska.

„Auslöschung” – rzecz Lupa – to propozycja oczyszczenia, uratowania ludzkiej godności i prawdy przez »wymazanie« – bezkompromisową i bezwarunkową redukcję, najradzykalniejszą amputację chorej duchowej tkanki”. Czy obrazem klinicznym owej choroby mają być banalne niezręczności i mimowolna śmieszność ceremonii pogrzebowej? Czy królem hipokrytów jest włoski kardynał (Marek Walczewski), gdy przypomina, że zmarła wielbiła Mahlera, a nie mówi o tym, że była jego kochanką; chwala też męża, któremu przyprowadził rogi? Czy obiektem „wymazania” ma być ciemna, wojenna przeszłość, zawsze istotna u Bernharda, tu jednak potraktowana mimochodem, pretekstowo? Obłeczony w sceniczne ciało światek Wolfsegg zda się zwyczajnie nieadekwatny wobec pasji wymazywacza. Z jednej strony mamy ludzi przeciętnych, czasem zdziwaczalych, czasem ograniczonych i w gruncie rzeczy niewartych uwagi – z drugiej strony miota się bohater to napastliwy, to znów bierny, nie składający się – mimo rzetelnych wysiłków Skiby – w spójną osobę mogącą przykuć uwagę i sympatię widzów.

Czy zresztą w ogóle miał budzić sympatię? Jest pisarzem – próbki jego talentu wypadają jednak marnie, uwagi o „ziewającej pustce” mają autoironiczny charakter, maszynopis zresztą płonie w podniosłym autodafie. Niemniej to ów skryba właśnie jest głównym rzecznikiem idei odrzucenia wszystkiego dla ocalenia... czego właściwie? Zwariowana i niespełniona poetka (autocytat Mai Komorowskiej z niedysyjszego „Życia rodzinnego” Zanussiego) tuli go opiekuńczo, nastroj finałowych scen zatacza się od zgryźliwości po tklliwość, zawadzając też o sentyment – ostatnie uczucie, jakiego oczekiwałoby się od austriackiego choleryka. W końcu zapowiedź przekazania rodowego majątku gminie żydowskiej w Wiedniu spada z głośników jak deus ex machina, wieńcząc dwa piękne wieczory miraży duchowego oczyszczania – albo dwa długie wieczory niekonsekwencji. Jak kto woli.